

Powiat słupski

Zbigniew Marecki

zbigniew.marecki@gp24.pl

Urodził się 2 lutego 1898 roku w miejscowości Sienno koło Witebska. Tam spędził całe dzieciństwo.

- Był samodzielny i odważny. Gdy rodzice zaczęli go namawiać, żeby został szewcem, uciekł z domu. Zatrzymał się u ciotek w Wilnie. Tam ukończył szkołę dla mechaników precyzyjnych - opowiada Zbigniew Waśko, jego wnuk.

Jako nastolatek sam sobie złożył radio. Jednak zawodowo związał się z ówczesną pocztą, bo w grudniu 1925 roku dostał pracę w Urzędzie Pocztowym w Krynkach, małym polsko-żydowskim miasteczku na Kresach. Tam był zastępcą naczelnika. Zajmował się telekomunikacją, czyli już działającymi telefonami.

- Mieszkał w budynku urzędu pocztowego, bo tam znajdowało się jego mieszkanie służbowe. Od 1927 roku zajmował je razem z naszą babcią Olgą, jego młodą żoną, którą poznał i poślubił w Grodnie - relacjonuje pani Wiesława, wnuczka Zygmunta Antoszkiewicza.

Była panią z dość zamężnej rodziny, która miała dwa domy w Grodnie. Panu Zygmuntowi nie było łatwo ją zdobyć. Był jednak uparty. Kupował swojej wybrance drogie prezenty. Woził ją na motorze, zabierał ją na kajak. I tak powoli zdobywał serce panny oraz jej rodziny.

Niemcy zniszczyli ich dom

Wkrótce na świat przyszedł dzieci Antoszkiewiczów. W 1928 roku urodziła się Helena, a trzy lata później Zdzisław. Sielskie życie zastępcy naczelnika poczty i jego rodziny w Krynkach, gdzie należeli do miasteczkowej elity, trwało do 25 czerwca 1941 roku. Tego dnia Niemcy atakujący ZSRR zbombardowali Urząd Pocztowy w Krynkach.

- Na szczęście dziadka i babci oraz ich dzieci w tym czasie nie było w domu. Do rodzinnej legendy przeszło, że babcia, która wybrała się po znajdujący się w zrujnowanej kuchni poleć słoniny, wróciła do dziadka ze sztućcami - dodaje pani Wiesława.

Bezdomna rodzina zaczęła uciekać przed wojną. Chcieli zatrzymać się w Siennie, u rodziny dziadka. Tam jednak nikogo nie było. Schronienie znaleźli dopiero w miasteczku Czaśniki, gdzie Zygmunt

Na robotach Niemcy szybko odkryli jego zdolności, więc robił im sygnety

Z rodziną jechał do Szczecina, ale osiadł w Gałęzinowie

● Zygmunt Antoszkiewicz założył pierwszy zakład zegarmistrzowski w Słupsku



► Zakład zegarmistrzowski Zygmunta Antoszkiewicza przy ul. Piekiełko w Słupsku. Jego właściciel jako pierwszy świadczył tego rodzaju usługi w mieście po 1945 roku



► Zdjęcie ślubne Olgi i Zygmunta Antoszkiewiczów. Pobrali się w lutym 1927 roku w Grodnie. Potem razem zamieszkali w Krynkach, małym miasteczku na Kresach

Antoszkiewicz dostał wtedy pracę.

Cała rodzina trafiła do obozu

Tam pracował jako zegarmistrz i jubiler. Był świadkiem zagłady społeczności żydowskiej w tej miejscowości. Wkrótce hitlerowscy najeźdźcy zaczęli także wywozić Polaków. Wtedy pan Zygmunt z całą rodziną został załadowany do pociągu, który zatrzymał się dopiero pod dzisiejszą Piłą. Stamtąd by-

li kilka razy przenoszono. W końcu wylądowali w niemieckim obozie w dzisiejszych Nadarzewicach koło Bornego Sulinowa. Tam przymusowi robotnicy z różnych krajów zajmowali się kopaniem okopów.

- Babcia i mama tam ciężko pracowały, a dziadek jako mechanik precyzyjny i jubiler szybko został zatrudniony przez Niemców do przerabiania złota. W praktyce robił im sygnety - opowiada Zbigniew Waśko.

Gdy było już wiadomo, że Niemcy wojnę przegrają, jeden z dobrych niemieckich strażników kazał im uciekać z obozu. Posłuchali go. W czworu wrócili do spalonych Krynek.

- Może lepiej będzie się nam żyło na Ziemiach Odzyskanych. Jedźmy do Szczecina - postanowił Zygmunt Antoszkiewicz podczas rodzinnej dyskusji. Jego żona nie miała nic przeciwko temu, bo nie wyobrażała sobie życia na wsi.

Przystanek w drodze do Szczecina

Wkrótce jechali pociągiem na Pomorze. Zatrzymali się w Słupsku, bo pociąg został zajęty przez organizatorów wyjazdu Niemców z miasta. Pasażerowie ze Wschodu mieli poczekać na kolejny pociąg, który miał ich dowieźć do Szczecina.

- W czasie rozmowy w poczekalni pewien nieznajomy zaczął zachęcać dziadka do życia na wsi, bo tam łatwiej się utrzymać niż w Szczecinie, gdzie w tym czasie brakowało żywności. Dziadek był człowiekiem praktycznym. Uznał, że to dobry pomysł. Zaczął szukać gospodarstwa w okolicach Słupska. Ktoś mu podpowiedział, że są jeszcze wolne polskie zagrody w Charnowie - mówi pan Zbigniew.

Do Charnowa jednak nie dotarł, bo w czasie jazdy do tej miejscowości zatrzymał się w Gałęzinowie, gdzie wypatrzył interesujące gospodarstwo.

- Ja tu nie będę mieszkać - powiedziała babcia Olga, gdy zobaczyła błoto przed jej przysiężnym domem.

Na szczęście w pobliżu stał ładny domek z małym ogródkiem. Ówczesne władze zgodziły się, aby rodzina go tymczasowo zajęła. Stamtąd Antoszkiewiczowie już się nie wyprowadzili. Mieszkali w nim aż do śmierci. Pan Zygmunt szybko zagospodarował ogród. Ustawił w nim ule i stworzył tak miły zakątek, że dla jego wnuków, które w domu w Gałęzinowie przyszedł na świat, przydomowy ogród do tej pory kojarzy się z miejscem arkiadyjskim.

Zakład na Piekiełku

- Trzeba jednak było zarabiać na życie. Dlatego dziadek uruchomił pierwszy w powojennym Słupsku zakład zegarmistrzowski. Mieścił się na Piekiełku - opowiada Zbigniew Waśko.

Interes jednak dobrze nie szedł. Dlatego pan Zygmunt zaczął szukać innego zajęcia. Znalazł je jako urzędnik w wydziale zdrowia w Słupsku, gdzie pracował do 1956 roku. Jednak to mu nie wystarczało, bo ciągle pociągła go mechanika precyzyjna. Swoje zdolności wykorzystał podczas prac przygotowawczych do uruchomienia ambulatorium dentystycznego w mieście. Otrzymał nawet stosowne zaświadczenie od władz partyjnych, które po-

Dwa tygodnie po śmierci żony spakował się i poszedł umierać do szpitala

dziękowały mu za duży, społeczny wkład pracy podczas przygotowań do uruchomienia zakładu dentystycznego. Uruchomiono go 22 lipca 1950 roku.

Antoszkiewiczowie wychowali dwoje dzieci: syna i córkę. Zdzisław Antoszkiewicz był nauczycielem rysunku. Zajęcia z nim sprawiały uczniom dużą przyjemność. Nie ożenił się. Jego siostra Helena wyszła za mąż. Miała dwoje dzieci - Zbigniewa i Wiesławę.

Wnuki pamiętają swojego dziadka jako miłego starszego pana, który pasjonował się fotografią. Zdjęcia robił nie tylko rodzinie, ale wielu innym osobom. Potem je obrabiał w domowym laboratorium.

- Powiększałnik zrobił sobie z wiadra - dodaje pani Wiesława. Do dziś te fotografie oglądają ze wzruszeniem. ●

© P

Pamiętnik babci Olgi

● Ważną pamiątką rodzinną są także pamiętniki Olgi Antoszkiewiczowej

- Dziadkowie byli do końca życia ze sobą bardzo związani. Babcia zmarła w czerwcu 1977 roku. Dziadek dwa tygodnie później. Do tej pory pamiętam, jak się spakował i sam poszedł do szpitala, aby umierać

- zdradza pani Wiesława. Rodzina przechowuje spory zbiór zdjęć pana Zygmunta. Po babci zostało kilka zeszytów jej pamiętnika, który prowadziła w Gałęzinowie.

- Ta miejscowość, w której osiadła przypadkowo, stała się jej bardzo bliska. Przed śmiercią mówiła, że chciałaby ją jeszcze zobaczyć. Ją, a nie rodzinne Grodno - podkreśla pan Zbigniew.

Pamiętniki pani Olgi dotyczą nie tylko spraw rodzinnych, ale także spostrzeżeń związanych z życiem społecznym i gospodarczym w czasach PRL-u.

- Można tam wyczytać wiele ciekawostek o czasach, które nie były łatwe dla zwykłych ludzi - opowiedział nam Zbigniew Waśko.